



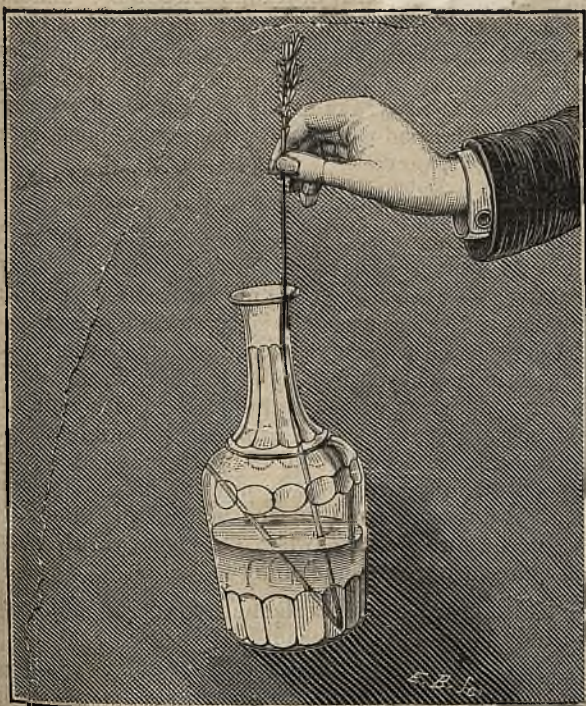
WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i z granicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Biurowisko Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



DOŚWIADCZENIE FIZYCZNE.

Długa, mocna słomka, zgina się ostrożnie, ażeby jej nie przełamać, i wprowadza, jak wskazuje rycina, wewnątrz karafki, do połowy wodą napełnionej. Karafka da się podnieść

na tej wątkiej słomce. Jest to przykład, jak małemi siłami można dźwigać i poruszać ciężary, znając i umiejąc zastosować prawa mechaniki. Przyciskając twarde orzech do stołu deseczką, trudno będzie bardzo go rozłuc, lecz dziadkiem do orzechów odrazu tego dokażemy bez wielkiego wysilenia. Dziadek, jest to już przyrząd mechaniczny, złożony z dwóch części, z dwóch ramion, które jednocześnie działają pod wpływem siły. Wyobraźmy sobie ciężar, leżący na ziemi. Człowiek najsilniejszy nie mógłby go dźwignąć rękami. Ale coż robi: bierze długi drąg żelazny, podsuwa drąg pod ciężar, a w niewielkiej odległości od tego ciężaru podkłada, dajmy na to, kamień, opiera swój drąg na kamień, koniec trzymany w ręku przyciska. Wówczas, nie trzeba się nawet wysilać, drąg dźwignie ciężar z łatwością. Ta słomka przedstawia coś podobnego do drąga, podpartego w miejscu, gdzie jest zgięta, a więc działają tu dwa ramiona nierówne. W takim wypadku zawsze niewielka siła, działająca na dłuższe ramię, może dźwigać znaczne ciężary, a i krótsze ramię przyczynia się do tego w znacznej mierze.

ZŁOTE PACHOLE.

POWIEŚĆ Z DAWNYCH CZASÓW

przez M....a

(Dalszy ciąg).

Tak rozmawiając po szlachecku, to jest głośno i szeroko, szli nasi państwo z Dębinki małą leśną drożyną w stronę

Garbowskiego zamczku, nie zauważywszy wcale, że z boku od strony swego dworku dążyli ku nim państwo Michałowie Zborkowie z córką, stąpającą w powietrzu na wysokich obcasach, z psiakiem i „parasulem”. Poczciwi sąsiedzi, dowiedziawszy się od córki o przyjeździe młodego Jaśka i o dziwnym przywitaniu, jakie ją od niego spotkało, nie zrozumiały go właściwie, przecież domyślili się jakiś pomyłki, i dążyli teraz do sąsiadów, tak dla nacieszenia się gościem, którego prawdziwie kochali, mimo drobiazgowych sąsiedzkich zawiści, jak i dla wyjaśnienia owej pomyłki. Dochodząc, ujrzeni Jaśków dążących ku Garbowskiemu dworcowi, i poszedłszy za nimi przez leszczynekę, wysłuchali mimowoli całej ich rozmowy o Jadwisi i zrozumieli Jaśka młodego pomyłkę. Zakłopotani do najwyższego stopnia, wraz z Jadwisią zaczęli wioną tak, że aż malowane buraczkiem rumieńce zgasyli przy naturalnej, przebijającej przez nie czerwieni, już chcieli cicho do domu zawrócić, nie dając poznać, że rozmowę sąsiadów słyszeli, gdy wtém żywsze poruszenie Jadwisi, wstrząsające jej dzwoneczki i piskliwe szczeknięcie modnego psiaka, zdradziło ich obecność. Państwo z Dębinki zwrócili się żywo do sąsiadów, zmartwieni nie żartem, bo łatwo domyślając się, że ich rozmowa poprzednia wysłuchana być musiała.

Młody Jaśko mianowicie, spojrzawszy na zaczerwienioną Jadwisię, nie miał co do tego najmniejszej wątpliwości, i żał mu się serdecznie zrobiło towarzyski lat dziecinnych. Zbliżył się więc do niej i rozmawiał z nią dworsko i pięknie, i uniósł jej psiaka, gdy ten się zmordował, słowem zachowywał się młody Jaśko względem panny Jadwigi zupełnie tak, jak dworska rycerska przyzwoitość nakazywała kawalerowi zachowywać się względem każdej damy, jakiej powierzchowność, acz niezręcznie i przesadnie, naśladowała teraz panna Jadwiga. Uszedłszy tak kawałek drogi wolniejszym krokiem, pożegnali państwo Zborkowie państwa z Dębinki u bram Garbowskiego dworca i sami zawrócili do własnego. Szli długą chwilę w głuchym milczeniu, pod smutnym wrażeniem usłyszaną niechęć owej rozmowy, gdy wtém pani Michałowa, spojrzawszy na córkę, krzyknęła boleśnie, bo po jagodach panny Jadwigi spływały strumienie łez gorących, znacząc długie smugi na licu buraczkiem zamalowanym. Poczciwi serdeczni rodzice chcieli ścisnąć i pocieszać córkę, ale ona usunęła się żywo:

— Dajcie pokój, ojcie — rzekła — bo ten Złoty pacholik, dworski wytwornis, gotów wasze pieczyoty z jakiego okna Garbowskiego spostrzedz i domyślić się, że ja płaczę. A otóż ja nie płaczę, tylko jestem zła! Bo wszak to na złość jemu, gdy był piecuchem, ja zajeżdżałam konie, aby się dzielnością popisać; i potem, gdy powiedział, że płakałby nad moją prostotą, gdybym mu rodzoną siostrą była, ja na złość jemu stałam się delikatną dworską panną, aby wiedział, że co zechcę to potrafię; a oto jemu i tamto źle, i to źle, i wszystko źle jest temu niedoszłemu rycerzowi dworakowi z królewskich zagranicznych dworów. Tedy, dość tego! Albo to on mi jest brat rodzony, abym miała naprawdę dbać o niego? Niech sobie jedzie napowrót wiatr gonić po świecie, niech robi co chce, nie obchodzi on mię nic, ani on, ani jego przemądra matka pani Beata, która go na takiego Złotego mądrąle wychowała; nie chcę więcej słyszeć o tych sąsiadach, a żyć będę i robić będę ze sobą, co mi się spodoba, i kwita!

Krótki bolesny krzyk matki przerwał pannie Jadwidzie tę gniewną mowę, ale teraz krzyk ten z inną zupełnie przyczyną pochodził, niż poprzedni; pani Zborkowa, zapatrzona na ukochaną a rozdrażnioną córkę, nie uważała, że stąpiła na kamień i zwichnęła nogę... Mąż i córka skoczyli ku niej i ponieśli ją do bliższego już dworku. Zwichnienie, jak wiadomo, bywa częstokroć gorsze niż złamanie, to też i z panią Zborkową zaniosło się na długą i ciężką niemoc, tém przykrzejszą w gospodarstwie, które całe i jedynie na jej rządnej spoczywało głowie. Cierpienie przytém było dotkliwie, a w obec tych tłumionych napróżno jęków matki, Jadwisią, rozpieszczoną jedynaczką, samowolną, dziwaczną, ale poczciwe dziecko w gruncie, zapomniała na raz o swój poprzednim wielkim zmartwieniu z tego powodu, że towarzyszył dziecinnych lat, za-

miast zachwycić się jej wytwornością, przelakł się, wzięwszy ją za „siłę nieczystą” to jest za straszdyło. Była tak zajęta matką, że zapomniała zupełnie o reszcie świata i nie widziała nawet, kiedy Złoty pacholik odjechał znów z domu, unikając starannie spotkania z towarzyszką dziecinnych zabaw.

XV.

Jak się król Zygmunt leczył.

Doświadczony i mądry a przewidujący pan Zawisza nie mylił się w swych przypuszczeniach i obawach. Polacy nie zadololeni byli z układów, z których Krzyżacy słuszniej niezadowolonymi być mogli. Po różnych przeto innych prześiściach, zawrzała sroga wojna.

Pan Zawisza, wpadłszy na jedną krótką chwilę do rodziców, zabrał tylko swego Złotego pacholika i poleciał z nim i z małym orszakiem jak strzała na lotnych rumakach w różne strony, gdzie sprawy państwa wymagały jego obecności. Więc do Trok w Listopadzie 1413 roku, gdzie przybyli posłowie Zakonu z prośbą o nowy zjazd, a w istocie po to, aby tylko zwlec zaspokojenie poprzednich układów. Potem musiał pędzić pan Zawisza znów do Węgier, do króla Zygmunta, za rozkazem króla Jagielly. Potem książę Witołd w imieniu króla Jagielly zezwolił Krzyżakom na zjazd w Kujawach w Styczniu roku 1414, a pełnomocnikami króla Jagielly na tym zjeździe byli: podkanclerzy Dunin, Bartosz z Ogrodzianiec, podkomorzy sandomierski i rycerz Zawisza Czarny. A gdy i ten zjazd spełził na niczem, jak się tego pan Zawisza spodziewał z góry, tedy musiał on z rozkazu króla Jagielly pędzić znów do Moraw i do Czech po najemnych żołnierzy.

W Lipcu dnia 18 tegoż roku, wśród innych listów, przybyłych do Maryenburga z wypowiedzeniem wojny nieuskromionym Krzyżakom, był i list pana Zawiszy Czarnego. I wtedy rozpoczęła się wojna, i wojska polskie pod Nidborkiem, Hohensteinem i Olsztynkiem w ziemi Warmińskiej świetnie odnosiły zwycięstwa. Aż obleżono Brodnicę, miasto silnie przez Krzyżaków obwarowane, a wtém przybył nuncyusz papieża Jana XXIII, i upadł na kolana przed królem Jagiellą, prosząc, aby odstąpił od obleżenia i szturmowania, a zawarłszy rozejm z Krzyżakami na dwa lata, aby sprawę swą z Zakonem poddał pod wyrok powszechnego soboru, naznaczonego już w Konstancyi.

I król Jagiello przystał na prośby nuncyusza.

— No, a zatem zawarty rozejm, Złoty pacholik, będzie może chwila odpoczynku, to polecimy do Garbowa, do naszych staruszków! — rzecze tegoż dnia wieczorem pan Zawisza Czarny do swego giermka, siadając w swym namiocie pod Brodnicą, i grzejąc się u niezbyt sutego ogniska. Złoty pacholik, mimo lat młodzieńczych, wyglądał już bardzo mężnie i poważnie wtedy, bo przez wszystkie poprzednie bitwy nie odstąpił od boku swego rycerza i pana, po wiele razy zajrzawszy śmierci w oczy, a takie blizki z tą wszechwładną panią siostrą pozostawiają zawsze ślady powagi na najmłodszych nawet licu. I doświadczenie pewne musiał już mieć Złoty pacholik, bo na owe słowa Zawiszy Czarnego rzekł, podnosząc nań od ogniska wzrok uśmiechnięty:

— Polecimy?... może, szlachetny rycerzu mój, jeżeli królowie i ludy pozwolą ci spocząć...

Giermek zgadł, bo jeszcze nie ruszono z pod murów Brodnicy, gdy już naznaczeni byli na ów sobór dla poparcia na nim sprawy polskiej: arcybiskup gnieźnieński Mikołaj Trąba, biskupi włocławski, plocki i poznański, a ze świętych osób Jan z Tuliszkowa i Zawisza Czarny.

W DZIEŃ ZADUSZNY.

Raz matusi jednej młoděj
Zmarło jakoś małe dziecię,
Więc... przestały szumieć wody,
Rosy srebrzeć się na kwiecie,
Ptaszki śpiewać, słońce świecić...
Tak tój matce się zdawało,
Bo jój dusza chciała lecieć
Za dzieciną swoją małą.

* * *

Matus, niegdyś piękna, miła,
Jak różany kwiat,
Z żalu strasznie się zmieniła,
Oczki strasznie zapłakała,
Białe rączki wciąż łamała,
Bo za dzieckiem wciąż tęskniła,
Zmienił jój się świat.

* * *

Od poranka do wieczora,
Od wieczora znów do rana,
Wciąż płakała, z żalu chora,
Jak kwiat zwiedły, łzami złana;
Obowiązku zapomniała,
Pracy, męża, własnej matki,
I płakała, i płakała,
Siedząc w progu stariej chatki.

* * *

A mówiła jój ta matka,
I mąż mówił, i ksiądz stary,
Powtarzała i sąsiadka,
Że grzech płakać tak bez miary.
Bo i dola i niedola,
Wszystko to nam idzie z nieba,
Wszystko zsyla wyższa wola,
A więc zgadzać się z nią trzeba.
Młoda matka nie słuchała,
I płakała, i płakała.

* * *

Wtém nadchodzi w Listopadzie
Dzień Zaduszny, ten ponury,
Światła, wianki na grób, kładzie,
A tam w górze płaczą chmury.

* * *

Młoda matuś już w wigilię
Ani mogła zmrużyć oka,
Wstaje w północ, wianki wije,
I choć wkoło noc głęboka,
Na cmentarzyk matuś bieży,
Do mogiły swój dzieciny,
Kładzie na nię wianek świeży
I znów płacze swój jedynęj.

* * *

Tak płakała, aż omdlała:
Wtém dziwnego coś się stało,
Ze skrzydłami postać biała
Zjawiała się przed omdlałą.
Przez cmentarza kręte smugi,
Środkiem mogił szła daleko,
Za nią szereg dziecięk długi
Płynął cicho, jakby rzeką.

* * *

Spora była to gromadka,
Smutno szły po smutnym świecie,
Aż w ostatniem biedna matka
Rozpoznała własne dziecię...

Chciała krzyknąć, nie zdołała,
Zdrętwiała z dziwu usty
Chciała schwycić, lecz chwyciła
Tylko lekki wietrzyk pusty.

* * *

Dziecię przecież szło koło nięj,
Białe blade, tak, jak płótno,
Dzban lez pełen niosąc w dłoni,
Pokazało go jój smutno,
Dając z trudem za innemi
W swą cmentarną drogę żmudną:
„Nie płacz, matko, mię na ziemi,
Bo mi łyzy tve dźwigać trudno”...

* * *

Takie słowa wietrzyk lekki
Szepnął matce rozbolałęj,
I rozwarła wnet powieki
Na moglię dziecka małęj.

* * *

Słońce już świtało z rana,
Matka sen swój zrozumiała,
I upadła na kolana,
I już płakać zaprzestała.
Pędzi życie w pracy, w trudzie,
Jak radzili starsi ludzie.

M-a.

URLOP STRAŻAKA.

KOMEDYJKA ZE ŚPIEWKAMI W DWÓCH AKTACH

przez Zofię Haukową.

(Dokończenie).

SCENA II.

CIŻ SAMI I SOŁTYS.

SOŁTYS.

Witam, panie organisto. Idę do matki, aby jój powie-
dzieć, że tu wieś cała przybywa. (wchodzi do swego domu).

ORGANISTA.

Dobrze, dobrze, już czas wielki, aby się cośkolwiek roz-
poczęło; pora na obiad, ja umieram z głodu.

SCENA III.

CIŻ SAMI, ADAMOWA, JANOWA, STANISZAW, SOŁTYS.

(wychodzą z swego domu; chór wieśniaków przychodzi z przeci-
wnej strony).

ŚPIEWKA V.

Chór.

Witaj, Adamowa! sąsiedzi przybyli,
Aby razem z tobą dzisiaj się cieszyli.

RÓZIA.

Dobry sąsiad wszystko z sąsiadem swym dzieli,
Gdy smutek, to płacze, radość, my weseli.

Chór.

Witaj, Adamowa, sąsiedzi przybyli,
Aby razem z tobą dzisiaj się cieszyli.

JADWISIA.

Szczęście ci dziś sprzyja, witaj, Adamowa!
Niech cię Bóg i nadal od złego uchowa,

Chór.

Witaj, Adamowa! sąsiedzi przybyli,
Aby razem z tobą dzisiaj się cieszyli.

ADAMOWA.

Dziękuję wam, poczciwi ludzie, za waszą pamięć, za
życzenia. Prawdziwie do łez mnie wzruszacie.

SOŁTYS.

Panie organisto, oto mój brat Stanisław.

ORGANISTA.

Witam, witam w naszych stronach.

STANISZAW.

Polecam się łaskawym względem pana organisty. (obraca
się do wieśniaków). A teraz niech i z wami się zapoznam, miłe
sąsiadki i poczciwi sąsiedzi. (rozmawiają z sobą, tymczasem
organista kręci się, chrząka, kładzie okulary na nos i mruga na
Marcinową, która występuje na przód sceny).

MARCINOWA.

Pan organista zabiera się do mowy; był dawniej nau-
czycielem w szkołach, a więc umie czytać i pisać doskonale,
i mówi tak mądrze, że aż go rozumieć trudno,

STANISZAW.

A więc baczność, słuchamy.

ORGANISTA.

(dziękuje skinieniem głowy, nos wyciera, kładzie okulary, wyjm-
uje z kieszeni zeszyt kilkuarkuszowy, czyta naprzemian deklamują-
cym, płaczącym i nadętym głosem, z początku zwolna, później
prędzej).

Adam i Ewa byli pierwsi ludzie na świecie... mieszkali
w raju.

MARCINOWA (niby do siebie).

Od początku świata! ach, mój Boże, to będzie długa
historia.

ORGANISTA (z gniewem).

Marcinowa przerywa... mówić nie mogę.

MARCINOWA.

Przepraszam, ani słowa więcej nie powiem, zacznij pan
tylko. (na stronie) Aby się jak najprędzej wygadał.

ORGANISTA (czyta dalej).

Ewa zgrzeszyła, jak to wszystkim wiadomo... i odtąd,
niestety! ileż na świecie kobiet płochych, lekkomyślnych, nic
dobrego, że tak powiem.

WIEŚNIACY.

Ach!

ORGANISTA.

Ale uspokójcie się, słuchacze moi; nie wszystkie niewia-
sty złe na świecie... są i cnotliwe, dobre, przezacne, że tak
powiem, a taką jest Ewa naszych czasów, Ewa, którą tu wi-
dzicie... O Ewo, żono Adama, poczciwa nasza sąsiadko!
błyszczysz jak gwiazda we wsi Rajowcu, w obwodzie krako-
wskim! (coraz prędzej) Tu się rodziłaś, nadobna kiedyś Ewo,
z tą wydalilaś się przed laty do Warszawy, i tam poszłaś za
mąż... za Adama szewca. Tam wśród zgiełku, wrzawy i na-
pływu ludności, wśród zbytku, pracy i zajęcia, tam... na Sta-
rém-Mieście, a potem na Krzywém-Kole, pełne cnot wiodłaś
życie. Dziwne, słuchacze moi, są życia koleje. Syn starszy
Adamowej, idąc na wędrowkę, zboczył z wielkiego gościńca...
do nas zabłąkał i osiadł w zagrodzie przodków swoich. (wol-
niej) Wtenczas, o Ewo! opuściłaś twoje wiktuały i do wsi na-
szej przybyłaś... unosząc z Warszawy dobre imię, a zo-
stawując w niej syna młodszego Stanisława, w straży
ogniowej... w zaszczytnej straży ogniowej, o której gazety
piszą... która codziennie w Warszawie daje widowisko stra-
szliwe pogorzeliśka ugashzonego... które... która... (Marcinowa
znieczierpliwiona kicha mocno, wtem wpada Jędrus przebrany za
pajaca, ciągnąc koszyk na kółkach, przyozdobiony kwiatami. Za
jego ukazaniem się śmiech powstaje ogólny, wszyscy aktorowie

go otaczają, nie zajmując się więcej organistą, który w najwię-
kszym gniewie uchodzi w stronę na prawo).

MARCINOWA (udając niezadowolenie).

Zawcześnię przybyliście.

JĘDRUŚ.

A przecież znak było kichnięcie.

ORGANISTA (z gniewem).

Oj niegodna Marcinowa, przerwałaś mi w najpiękniej-
szym paragrafie, a miałem ich jeszcze cztery.

JĘDRUŚ.

(nie zważając na organistę, mówi z przesadą).

Wiwat, niech żyje Adamowa! Nauczony, tak przema-
wiam: Wszystkie nasze gospodynie, chcąc dać dowód jak
poważają i kochają Adamową, nagotowały, napiekły różnych
rzeczy, które złożone w tym koszu ja przywożę, ja, z polece-
nia Marcinowej przez pana Jacentego kamerdynera przebra-
ny a la mosie pajaco, dla zabawy ogólnej... naśladować w tém
warszawskie widowiska zwane hecą, na których Marcinowa,
będąc w Warszawie przed laty, często bywała.

MARCINOWA.

Szczyć się tém.

JĘDRUŚ.

Pan kamerdyner zaś...

MARCINOWA.

Już było...

JĘDRUŚ (drapiąc się w głowę).

Przerwaliście mi, kumo Marcinowa... otóż widzicie...
resztę przepomniałem.

MARCINOWA.

Niedolega!

ADAMOWA.

Dobrze, dobrze, Jędrusiu; dziękuję ci za mowę, a wam,
Marcinowa i wszystkie moje kochane sąsiadki, nie wiem do-
prawdy, jak wam okazać moją wdzięczność, chyba dzieląc się
z wami wszystkiem, coście mi ofiarowały, i zawsze będąc dla
was usłużną i dobrą sąsiadką.

SOŁTYS.

A teraz, marsz do izby, panie pajaco, tam złożycie wszy-
stko. (Jędrus obejdzia figlarnie całą scenę, zawadza o organistę
i wchodzi do domu sołtysa; później wraca, ale bez kosza).

ORGANISTA.

Nie wytrzymam dłużej... uciekam...

ADAMOWA (zatrzymuje go).

Racz się nie obrażać, szanowny panie organisto, pozostaj z nami.

STANISZAW.

Mowę twoją, organisto, odczytam na osobności, zawiozę
do Warszawy, i wydrukować każę w Kurjerze Warszawskim.

ADAMOWA (cicho do organisty).

Przywiózł dla pana paczkę tytoniu.

ORGANISTA (udobruchany).

Czy podobna! poczciwy chłopiec... niechże cię uściskam...
No, cóż robić, prostakom wybaczyć trzeba... ludzi uczonych
nigdzie już i nikt słuchać nie chce.

SPIEWKA.

Każdy woli skoczne tany,
Każdy dzisiaj opętany,
Myśli o polce, mazurze,
A nikt o literaturze.

W takim czasie oplakanym,
Każdy za popędem danym
Wciąż się tylko kręci, płąsa,
Aż się na to całek otrząsa.



W dzień Zaduszny.

Jednak świat przerobić trudno,
Samemu żyć jakoś nudno,
Trzeba więc krakać z wronami,
A dziś widzę skakać z wami.

SOŁTYS.

Dalój, chłopcy, do krakowiaka! (Adamowa siada na ławce, cztery pary lub więcej stają do krakowiaka; każda para śpiewa do publiczności, później przetańcowawszy w półkole staje na końcu i t. p.)

ŚPIEWKA.

PIERWSZA PARA.

Gdy wása pokręcę, brzęknę podkówkami,
Zuch ci ze mnie wielki... między dziewczętami.

DRUGA PARA.

Niejeden mi mówił, że bardzo milutka,
Ale żaden nie wie, że wielka filutka.

TRZECIA PARA.

Jeszcze ze dwie mile aż do końca lasu,
Kochaj mnie, dziewczeczko, proszę cię zawczasu.

CZWARTA PARA.

Śniegi już stopniały, wkrótce ujrzym wiosnę,
Może kochać będę, ale jak urosnę.

SOŁTYS.

U nas na wsi praca, a czasami tańce,
W mieście tylko zawsze myślą o hulance.

JANOWA.

Jestem-ci ja jestem hoża krakowianka,
Nie przejdzie mnie w tańcu żadna Warszawianka.

STRAŻAK.

Jeśliście słyszeli śpiewki krakowiaka,
Posłuchajcie teraz i zwrotek strażaka.
Strażak ci ja, strażak, dobry do bosaka,
Sikawka ma panna, i nie ladajaka.

JADWISIA.

Chociaż mundur szary nie zdobi strażaka,
Jednak będę z tobą tańczyć krakowiaka.

PAJAC (sam).

Pajac dziś sam jeden, na to niema rady,
Na wsi nie uchodzą żadne maskarady.
Maskują się w mieście i pono tak zgrabnie,
Że czém kto naprawdę, nikt tam nie odgadnie.

ORGANISTA (do publiczności).

Jeśli organista dziś wam brednie prawił,
To tylko dlatego, aby was zabawił.

MARCINOWA.

Zabawić was było dziś nasze żądanie,
Bądźcie nam życzliwi, panowie i panie.

WSZYSZY.

Zabawić was było dziś nasze żądanie,
Bądźcie nam życzliwi, panowie i panie.

Listy z Warszawy.

Powróciwszy z letniej wycieczki, pośpieszyłem z ogłoszeniem konkursu, czuję jednak, że nie dopełniłem obowiązku, bo wszakże mam donosić czytelnikom „Wieczorów”, zamieszkałym w różnych okolicach kraju, zajmujące wiadomości z Warszawy. A tu jak na złość nie a nie zajmującego nie widziałem i nie słyszałem, odkładałem więc pisanie listu, tém bardziej, że niezadługo będzie o czém pisać. Spodziewany jest w Warszawie najnowszy obraz naszego mistrza Matejki, przedstawiający słynną bohaterkę francuską Joannę d'Arc. Dotąd jednakże arcydzieło to nie nadęszło, a tu redakcja ka-zała mi pisać tymczasem o czém inném.

Wiem ja dobrze, że to nieładnie samemu się chwalić i nigdy tego nie robię, ale powiedzieć szczerą prawdę z należytą skromnością, nie jest przecież grzechem. Muszę więc, dla lepszego zrozumienia rzeczy, wytłómaczyć, dlaczego redakcja nasza mnie poleciła przemówić w tej sprawie. Redakcja utrzymuje, że umiem trafić do serc czytelników, a zwłaszcza... czytelniczek, że zaskarbiłem sobie powszechną życzliwość. Urosłem na dwa łokcie, słuchając tych słów pochlebnych, lecz milczałem, nie zaprzeczałem, broń Boże, bo przecież każdy wie, że młodszemu nie wypada zaprzeczać, gdy starsi mówią. Gdybym ja sam miał odpowiadać na swoje własne zadanie konkursowe, tobym bez wahania napisał natychmiast, że jedyna sława, jakiej najgoręcej pragnę, jest ta, którą wśród czytelniczek i czytelników naszego Pisemka zdobyć mogę. Chciałbym, ażeby to grono coraz liczniejsze, coraz serdeczniejszą przyjaźnią obdarzało Kazia sprawozdawcę i imię jego powtarzało z życzliwością po wszystkich zakątkach kraju... Wszak to byłaby „sława pocziwa”, a takięj przecież służyć wolno i pragnąć wolno każdemu.

Ale nie o sobie mówić miałem, wracam więc do rzeczy, przede wszystkim zaś wspomnieć muszę o konkursie robót ręcznych, niedawno w redakcyi naszej rozstrzygniętym. Tu widzę zdziwienie pańienek: a cóż znów taki... scyzoryk może powiedzieć o robotach kobiecych? Bo że pańienki, pomimo całej swęj laskawości, czasem cichuteńko, pomiędzy sobą, tak wiernego słuęę swego nazywają, to wiadomo, i niema o co się obrażać. Czysta prawda także, iż robótki kobiece, to nie moja rzecz, wcale też w tym konkursie nie brałem udziału, sąd wydawały panie, znające się na tém dobrze, ja tylko pozwoliłem sobie obejrzeć robótki, a było ich sporo i niektóre wydały mi się bardzo ładne i starannie wykonane.

Tak się jakoś zdarzyło, że wpadłem po coś do redakcyi w tej chwili właśnie, gdy jedna z pań, do składu teęże redakcyi należąca, miała te wszystkie rzeczy odwozić do Szpitalika dziecinnego i do Ochronki, pozostającęj pod opieką Towarzystwa S-go Wincentego.

— I ja pojadę, i ja pojadę! — zacząłem wołać tak błagalnie, a przytém tak czule spoglądałem, że ta pani zaśmiała się i pozwoliła mi wsiąść z sobą do powozu. Przybyliśmy najpierw do Ochronki, przyjęła nas uprzejmie Siostra Miłosierdzia, a gdy dowiedziała się, co przywozimy, uradowała się niezmiernie i zaraz nas wprowadziła do sali, gdzie było mnóstwo dzieci, większych i mniejszych. Siostra Miłosierdzia rozwinęła paczkę i wszystkie koszulki, sukienki, kaftaniczki i różne przedmioty włóczkowe, rozsypały się na dużym stole.

— To dla was, dzieci — powiedziała Siostra wesoło — to wszystko dla was. Ty, dziewczeczko, masz bardzo ciasny i krótki kaftaniczek, patrz, zaraz dostaniesz śliczny nowy. Dla ciebie, malutka, będzie ta koszulka, wy dostaniecie po jednej spódniczce i t. d.

Chciałbym, żeby pańienki, które nad owemi robótkami pracowały, były widziały, co się to wówczas działo. Wszystkie twarzyczki zarumieniły się z wielkiej radości, oczki śmiały się, niektóre dzieci uszczęśliwione zaczęły klaskać w rączki i skakać.

Patrząc na to, wyznaję szczerze, zazdrościłem pańienkom, żałowałem, że chłopcy nie mogli do tego konkursu należeć i że ja byłem tylko świadkiem obojętnym tej rozrzewniającej sceny. A Siostra Miłosierdzia, rozdając ubrania dzieciom, mówiła:

— To dobre, kochane pańienki wam przysłały; pamiętajcie przy pacierzu pomodlić się za nie serdecznie, prosić Boga, aby błogosławił tym pocziwym rączkom, które dla was się trudziły, ażeby mogły jeszcze dużo dobrego zrobić w życiu. Będziecie pamiętały?

— Będziemy! Niech Bóg błogosławi dobre, kochane pańienki — powtarzały starsze dzieci, a i młodsze wołały za nimi:

— Doble pańienki! kochane pańienki!

Jestem pewny, że sprawię przyjemność wszystkim robotnicom, które się na te dary złożyły, opowiadając im te szczegóły. Prawie toż samo było i w Szpitaliku dziecinnym: blade, schorowane twarzyczki ożywiały się na widok nowych kaftaniczków i sukienek, a Siostry Miłosierdzia cieszyły się razem z dziećmi. Redakcja nasza otrzymała też w kilka dni później odezwę od zarządu Szpitala z podziękowaniem, przytaczam ją tu dosłownie:

„Z ogłoszonego w N-rze 24 z d. 12 Czerwca r. b. w piśmie Wieczorach Rodzinnych „Nowego Konkursu dla Pańienek” na ręce Starszęj Siostry Miłosierdzia Warszawskiego Szpitala dla dzieci przy ulicy Aleksandrya wpłynęły rozmaite przedmioty, służące do ubrania dzieci. Za dar ten Zarząd Szpitala, imieniem chorych swoich, którzy często przy wyjściu ze Szpitala odziać się czém nie mają, najserdeczniejsze składa podziękowanie pańienkom i Redakcyi za pośrednie wywołanie dobrego uczynku, żywiąc nadzieję, że i nadal Szpital dla dzieci w opiece szlachetnych serduszek pozostanie.”

I otóż teraz ja w imieniu redakcyi odwołuję się do opieki tych szlachetnych serduszek i jestem pewny, że głos mój odzwięk w nich znajdzie. Zbliża się Boże Narodzenie, dzień

radości i miłych niespodzianek dla zamożnej dziatwy, której Gwiazdka najrozmaitsze przynosi dary. W Szpitaliku dla dzieci i w tej porze także nie brak bladych, schorowanych istotek; czuwają tam nad nimi dobre Siostry, anioły miłosierdzia, one to zwracają się do was z prośbą; dary najskromniejsze, znoszone sukienki, stare, zużyte zabawki, dla tej biednej dziatwy więcej znaczą, niż dla was najwspanialsze, kosztowne upominki. Tak mało na to potrzeba, aby im wielką radość sprawić, osłodzić cierpienia; w każdym domu, gdzie są dzieci, znajdzie się jakieś stare ubranie, jakiś gracik niepotrzebny, i żeby tylko każdy chciał te przedmioty odszukać, przesłać do naszej redakcyi, zbierałoby się pewnie sporo, i ubrania, i zabawek.

— Kazio niech o tém napisze — zawyroковано w naszej redakcyi, i oto przy tej sposobności zauważono łaskawie, że... umiem trafić do serc czytelniczek. Idzie tedy o mój honor, bo przyjąłem wyzwanie, podjąłem się do panienek przemówić po swojemu, poprosić o te dary na Gwiazdkę dla Szpitalika. Gdyby więc teraz skutek zawiódł moje nadzieje, byłoby to dla mnie wielkie upokorzenie. Ufam jednak, że tak źle nie będzie i że znów będę mógł się wprosić do powozu, naładowanego po brzegi rozmaitemi przedmiotami, które zaraz po ogłoszeniu mego listu zaczną ze wszystkich stron napływać do naszej redakcyi.

Na tém kończę, polecając się życzliwości czytelniczek i czytelników,

serdeczny przyjaciel Kazio.

POŚRÓD ŚNIEGÓW I LODÓW.

PAMIĘTNIK SZESNASTOLETNIEGO PODRÓŻNIKA

w krainach północnych.

(Dalszy ciąg).

We dwa dni po rozstaniu z Eddym, wsiedliśmy na parowiec, na który tu dawno oczekiwano i popłynęliśmy dalej na północo-zachód. Parowce pełnią na tych wybrzeżach służbę pocztową, regularnie niby, ale niespodzianek bywa zawsze dużo, przez co na kilka dni różnicy w owej służbie nie zważa się wcale. Płynęliśmy ciągle w pobliżu brzegów, które zaczęły się stawać coraz wyższe i bardziej poszarpane, skaliste, czarne, dzikie a puste, choć od czasu do czasu pojawiał się jakiś punkt zamieszkały rybacki, ale my wstępowaliśmy tylko do głównych miejsc uprawy guana. Powietrze znów stało się czyste, a po Wardo balsamiczne nawet. Niebo było jasne, słońce płonęło bez przerwy, ale ja umiałem już dobrze poznawać nocy po oziębieniu znacznem temperatury i nawet po samem położeniu słońca. Tak minęliśmy Blodskylodden, Peersfiord, wsiedliśmy na dwa dni w Herningsberg i znów przepłynęliśmy obok kilku fiordów czyli zatok wielkich, a brzegi stawały się coraz wyższe.

Te skaliste góry nagie, coraz bardziej i częściej poszarpane fiordami, zaczęły mię prawie przestraszać, nie widziałem jeszcze takich czarnych, skamieniałych olbrzymów. Wtém gwałtowne poruszenia naszego statku zwróciły moją uwagę, uciekaliśmy szybko, jakby nam znów wieloryb zagrażał, a potem nagle zawróciliśmy się w bok pod kątem prostym, i znów w tył zupełnie na wschód, z kąd przybywaliśmy właśnie. Ojciec był zdziwiony temi manewrami, tak samo jak i ja, a osada statku nazbyt ważne miała zajęcie, abyśmy przeszkadzali jej pytaniami. Wkrótce jednak, wpatrzywszy się przypadkiem w widnokrąg, ujrzeliśmy dziwne potwory, poruszające się wolna i zagrażające statkowi z kilku stron na raz, choć z daleka, ale płynąc dalej musielibyśmy zbliżyć się do nich. Statek nasz manewrował więc na wszystkie strony, stosując się do poruszeń nieprzyjaciół, a wypatrując chwili

stosownej, w której mógłby wysunąć się z pomiędzy nich na zachód, gdyby przypadkiem pozostawiły odpowiednią przerwę pomiędzy sobą. Po kilka razy zapędzaliśmy się, gdy igrające z sobą potwory rozstąpiły się jakoś, ale one znów zbliżały się ku sobie, a my całą siłą pary uciekaliśmy w tył.

— Ojciec — rzekłem zdumiony do najwyższego stopnia — cóż to mogą być za stworzenia, większe daleko od największych wielorybów i tak wysoko wznoszące się nad wodą, i tak dziwnie niebieskiej i złotej barwy, iskrzącej się tak ognisto?... — zaledwo wymówiłem te słowa, gdy i ojciec i ja naraz wykrzyknęliśmy:

— Ach! to są lodowce!...

Tak było istotnie, z wielkim trudem straciwszy trzynaście blisko godzin na tej szermierce z lodowcami, zdołaliśmy wymknąć się z pomiędzy nich nareszcie. Wydobyszy się z tej matni, dowódca statku opowiedział nam, że jest to dość niezwykły wypadek, gdyż lodowce, przygnane wiatrem od bieguna w porze letniej, wędrują zwykle o kilka mil dalej na północy i wtedy statki obawiają się pokazać w owych stronach, gdyż grozi im zgniecenie pomiędzy dwiema górami lodowemi lub zatopienie, gdy taka góra, straciwszy równowagę w skutek topnienia, nagle się przewali w taki sposób, że dotychczasowy szczyt jęj stanie się podstawą, zagłębiwszy się w oceanie, a dotychczasowa podstawa z głębin wód wyskoczy ku niebu i błyszczyć zacznie milionami barwistych iskier na słońcu, nieustannie ją oświecającem.

Minęliśmy znowu kilka mniejszych fiordów, szczybiących skały straszne, jak góry, zatrzymaliśmy się w Barlewag, potem wpłynęliśmy do ogromnego Tana-fiordu i zatrzymaliśmy się w Stangenoes. Jest to ten fiord, do którego wpada owa Tana, olbrzymia rzeka, po której płynęliśmy, „przedostawszy się przez górki”, oddzielające Norwegię od Szwecyi. Wszystkie mniejsze osady i stacye rybackie, jakie zwiedziliśmy po Wadso i Wardo, potwierdzały tylko spostrzeżenia w tamtych dwóch uczynione, a portu drugiego, tak pysznego, jak w Wardo i tak pełnego okrętów, z takim lasem masztów, nie spotkałem więcej w tych stronach. W mniejszych stacyach rybackich łowi się wszelka ryba, jaka w swojej porze się pojawia, najwięcej dorsze, które do tej samej rodziny należą, co i wątlusz, a po ususzeniu zwykle także zwane są sztokfiszem.

Nie wszędzie stać przedsiębiorców na takie urządzenia, takie budowle, acz drewniane, bo tu i drzewo jest przecież rzadką kosztownością i takie statki rybackie z armatami harpunowemi, jak w Wardo, jedna tylko rzecz jest wszędzie jednakowa na tych rybackich wybrzeżach, a to woń okropna. W niektórych okolicach jest też straszna chmara ptactwa, które nie pracując, chce dzielić z pracowitym rybakiem jego zdobycz, co przychodzi owym rabusiom bardzo łatwo, bo suszenie odbywa się na wolnem powietrzu. Celem tedy odstraszania ptactwa, biedni rybacy wysilają dowcip na najczudniejsze strachy, które też sterczą tu na wszystkie strony gęsto w każdej osadzie, co im dziwaczny pozor nadaje. Przy zbliżaniu się po raz pierwszy do takiej gromadki budek mieszkalnych, o rozległych naokoło suszarniach, najeżonych strachami, nie mogłem wcale rozpoznać, na co patrzałem, aż mi to wytłómaczono. Tutaj w każdej osadzie są już Lapończycy, psy, i renifery.

Przesiadłszy się znowu na statek „Arrow” (Strzałę) wypłynęliśmy ze Stangenoes, z długiego Tana-fiordu, okrążając przylądek Korgos-Niarga, wyglądający raczej na wyspę, bo tylko cieniutkim paskiem ziemi łączy się z lądem. W Ganwiku i w Mehawnie, gromadkach budek rybackich, nie znaleźliśmy nic nowego, więc nie wyszliśmy nawet na brzeg do kilku jeszcze mniejszych osad, choć Strzała musiała tam przystawać. Skały nadbrzeżne dochodziły w tych okolicach do takich rozmiarów, a co dziwniejsza miały takie kształty szczególne, że niewiedziałem zupełnie, co o tém myśleć.

— Ojciec, to przecież nie jest skała, ten jeździec olbrzymi, tylko pomnik jakiś na skale! — rzekłem, wskazując jeźdźcę, pochylonego na grzbiecie pysznego rumaka i zmuszającego go do skoku ze szczytu olbrzymiej góry skalistej prosto w ocean; koń stał prawie dęba, śpierzając się na tyl-

nych nogach, gdy przed nim brakło już podstawy nad przepaścią bezdenną oceanu.

— Zkądżeby tu niedaleko północnego, bieguna miały być jakieś tego rodzaju pomniki? czy to już mało skał dziwnych widzieliśmy dotąd... — odpowiedział ojciec, ale spojrzawszy na przepyszną grupę, wysoko w powietrzu błyszczącą w słońcu, jakby w zbroicach stalowych odbitę, zamilkł ojciec nagle, urwawszy w pół słowa.

— Sam już nie wiem, czy to skała, ale nie pojmuję, coby innego być mogło... — rzekł po chwili zdumiony.

— Wiem ja, co to jest — mruknął poza nami Lapończyk Beks, który straciwszy majątek, to jest renifery, najął się za posługacza na Strzale i podobał mi się odrazu, ponieważ przypominał Hansa-John-Bulla cokolwiek.

— A cóż to jest? — pytam go tedy. Beks pokiwał czar-ną swoją czupryną, tak gęstą i zbitą tłuszczem i brudem, że musi być z pewnością nieprzemakalną głowy ochroną, i rzekł:

— Kiedy jeszcze Samesi byli wielkim, potężnym ludem i mieszkali tam daleko na południu, w ogromnym, bogatym kraju, o wiecznie zielonych pastwiskach, pełnych nieprzeliczonych stad reniferów, wtedy były tu same straszne dziwy w dzisiejszej Samedyi, kędy Samesi chronić się teraz muszą, odsuwając od niedobrych obcych, którzy kraj ich sobie przywłaszczyli. Raz tedy w owych dawnych czasach było dwóch braci, którzy mieli ukochaną siostrę. Pewnego dnia, gdy bracia poszli opatrywać reny, wszedł do ich domu ubogi staruszek, siwy jak lodowiec i prosił o posiłek. Dobra dziewczyna, siostra dwóch braci, podała natychmiast spragnionemu staruszkowi kubek pysznego reniferowego mleka. Ale mniemany staruszek, który był straszonym czarownikiem, tego właśnie czekał i chwycił podającą mu mleko dziewczynę za mały palec u lewej ręki, przez co odrazu zdobył nad nią wszelką moc, jako czarownik, a świsnąwszy tyłek, unióś ją w powietrze i znikł. Tymczasem na pastwisku mądry renifer-przewodnik okazywał tak wielki niepokój, oglądając się w stronę domu, a wyrażając rogami, że bracia domyślili się, iż coś się w domu straszego stać musiało. Więc skoczył starszy na swego konia (bo byli tacy bogaci, że i konie mieli) i popędził do domu, a młodszy skoczył na młodego renifera i pędził także. Ale koń pognał posłusznie, gdy renifer po swojemu zaczął wprzód dokazywać; nim pobiegł za nim i przez to starszy brat, dopadając domu, pierwszy ujrzał jeszcze znikającego w powietrzu potwora, unoszącego siostrę, domyślił się wszystkiego i pogonił za nim w świat. Młodszy zaś, przybywszy na miejsce, nie zastał już ani siostry ani brata, więc usiadł i płakał, aż napłakawszy się, rzucił wszystkie majątek i poszedł w świat szukać rodzeństwa swojego, a szedł na północ, bo tak wiodły go ślady kopyt rumaka braterskiego. Szedł, szedł, szedł, aż przyszedł na brzeg morski i podniósłszy oczy do nieba, ujrzał brata na szczycie wysokiej skały, skamieniałego najoczywiściej z żalości, gdy nie mógł już dalej przez morze ścigać czarownika, unoszącego siostrę...

(d. c. n.)

ZAGADKA.

(Ułożona przez Ludwika Niemojowskiego dla Róży alpejskiej w Warszawie).

Przedtém, nie tak dawno jeszcze,
Często w używaniu byłem,
Dziś, choć się w literach mieszczę,
Znaczenie swoje straciłem.
Dwie siostry mają powinność
Zastępować moje czynność,
A ja zaś w szeregu bratnim
Jestem nieledwie ostatnim.
W końcu powiem ci w sekrecie,
Że choć *jednostka* na świecie,
Dziesiątką być nie przestaję;
To sie prawie cudem zdaje,
Lub też bajką bezsensową,
Lecz, że tak jest, daję słowo.
Możem powiedział za dużo...
Więc zgadnij, Alpejska Różo!

Łamigłówka anagramowa

(Od Różyczki polnej dla Słomki).

1. Niwa. 2. Kazia. 3. Rano. 4. Paczka. 5. Abel. 6. Naiwni. 7. Taksa. 8. Dary. 9. Sierp. 10. Roma. 11. Miła. Z każdego z tych wyrazów, zmieniając porządek liter, utworzyć inne wyrazy, których głoski początkowe utworzą imię i nazwisko poety.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 43-go.

Zagadnienia naukowego:

Nożyczki za dotknięciem sprawiają wrażenie zimna, bo metal jest dobrym przewodnikiem ciepła, to jest z łatwością ciepło chwyta i z łatwością je z siebie wypuszcza. Gdy więc dotkniemy ręką przedmiotu metalowego, ciepło z naszego ciała przepływa doń szybko i dalej uchodzi, a ztąd czujemy zimno, czyli brak ciepła. Drzewo jest złym przewodnikiem, nie zabiera tak gwałtownie ciepła z ręki i dlatego nie sprawia wrażenia zimna.

Szarady:

Na — po — le — on.

Łamigłówki zgłoskowej:

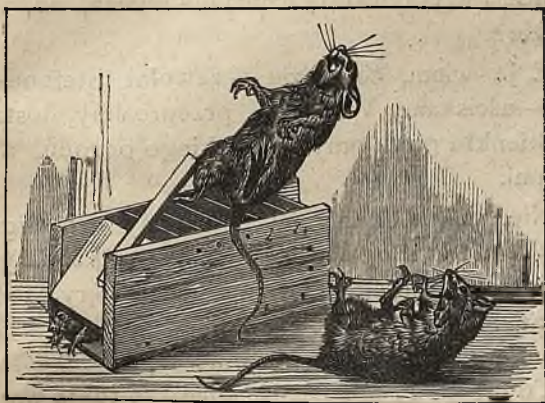
Salamina—Pizystrat—Arabowie—Rzemień—Tysiąc—
Arbuz—Narcyzy—Indygowiec—Esy.
Spartanie — Ateńczycy.

TREŚĆ: Doświadczenie fizyczne (z drzew.) — Złote pachole, powieść z dawnych czasów p. M...a (c. d.) — W dzień zaduszny p. Ma. (z drzew.) — Urlop strażaka, komedyjka ze śpiewkami w dwóch aktach p. Zofią Haukową. — Listy z Warszawy. Pośród śniegów i lodów, pamiętnik szesnastoletniego podróżnika w krainach północnych (c. d.) — Łamigłówki, rozwiązanie. W Dodatku: Przygoda małego Gryzusia (z drzew.) — Pod opieką Manusi p. Kazimierę. — Królowa perłowego pałacu. — Łamigłówka, rozwiązanie, Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Garbusek, powieść dla dorastających panienek p. Maryą Świdorską.

Przygoda małego Gryzusia.

(Dalszy ciąg).

Biedny ojciec wyrócił potężnego koziółka, mateczka o mało nóżki nie złamała, a nieposłuszny Gryzuś, siedząc w ciasnym więzieniu i rozmyślając nad smutnym losem, który go czekał, gorzko ubolewał nad swoją nieroztropnością. Ach! gdybyż się mógł uratować! Nigdy, przenigdy nie zapomniałby tej okropnej przygody, słuchałby ślepo rodziców, nie oddalałby się na krok od boku troskliwej mateczki.



Lecz miłość rodzicielska niewyczerpaną jest w pomyślach i cierpliwości. Starzy szczurowie, doświadczeni w wypadkach wszelkiego rodzaju, bo długo żyli na świecie, dużo podróżowali i bywali już w najrozmaitszych położeniach, a zawsze radę sobie dawali, i teraz nie stracili odwagi. Podnieśli się, otrząsnęli i zaczęli się naradzać, co dalej począć, bo przecież odstąpić ukochanego jedynaka nie mogli, choćby ich samych wraz z nim nie szczęście spotkać miało.



— Już wiem! już wiem! — zawołali oboje jednogłośnie i wnet na nowo zabrali się do roboty. Postanowili przewrócić straszliwy, zdradziecki przyrząd, w którym mały Gryzuś pokutował tak ciężko, jęcząc, dysząc i truchlejąc ze strachu. Niełatwa to była sprawa, ale rodzice nie żałują trudów, zbierają wszystkie siły, a znają oni

dobrze te sztuki i podstępny, których ludzie używają, aby zgubić łatwo wierne młode szczury, wiedzą, że byle tylko przewrócić pułapkę, więzień ujdzie z niej cało.

(d. n.)

Pod opieką Maniusi.

— No, to już wszyscy jesteście ubrani — mówiła niemłoda kobieta w dużym czepcu na głowie — tylko się proszę spokojnie zachować, a Maniusia, jako najstarsza, niech też spojrzy na dzieci, żeby sobie sukienek nie pogniotyły. Ja tylko pójdę ogarnę się trochę, i zaraz pójdziemy do Saskiego ogrodu.

— Niech Wronosia będzie spokojna — mówiła z wielką powagą Mania — już my tu sobie nic nie zrobimy złego.

— A Stefanek niech też nie dokazuje, żeby majteczek nie posmolił — mówiła jeszcze odedrzwi niania.

— No, no, o mnie niech się Wronosia nie boi — zawołał chłopczyk — przecież ja nie dziecko.

— Czasem Stefanek gorszy od małego Zyzia, chociaż Stefanek ma pięć lat skończonych, a Zyzio rok dopiero.

— Proszę bardzo nie przezywać mnie od dzieci, Wronosia to na mnie zawsze co wymyśli.

— A ja będę cichutko siedziała — odezwała się czteroletnia Janinka — ja ani się ruszę, zobaczysz Wronosia.

— Dobrze, dobrze, jagódko, już idę, a pamiętajcie, że z Saskiego ogrodu pójdziemy do babuni, gdzie mama na nas już czeka.

To powiedziawszy, Wronosia wyszła, a dzieci pod opieką Maniusi zostały same w pokoju.

— Już to Wronosia to zawsze lubi na mnie co powiedzieć, jakgdybym ja był małym dzieckiem — mówił nadąsany Stefanek.

— A tak nam przykazuje o tych sukienkach, żeby nie pognieść, jakgdybyśmy nie wiedzieli, że trzeba się grzecznie zachować — dodała Mania.

— Bo Wronosia chce, żebyśmy u babuni ładnie wyglądali — rzekła Janinka.

— Ale nim Wronosia przyjdzie, to my się przecie możemy trochę pobawić — rzekł Stefanek, który nigdy długo na jednym miejscu nie mógł posiedzieć.

— A dobrze, pobawmy się — zawołała Mania — nie będzie nam się nudzić, czekając tak długo, dopóki się niania nie ustroi.

— Ale w co się będziemy bawili? — zapytał Stefanek.

— W cokolwiek, może w ptaszka — rzekła Mania.

— Kiedy nas zamało na ptaszka, nie możnaby zrobić koła — mówił Stefanek.

— To w cenzurowanego.

— E, niema sensu.

— To w garnuszek — odezwała się Janinka, chcąc należeć do narady — albo w chowanego.

— A widzisz — zawołał Stefanek — Janinka młodsza, a dobrze doradziła, będziemy się bawić w chowanego.

— A kto się schowa najpierwszy? — zapytała Janinka.

— Ja — rzekł Stefanek — jestem chłopiec, sam między wami, to się schowam, a wy będziecie mnie szukały.

— A gdzie się schowasz? — zapytała Janinka.

— Ba, jakbym ci powiedział, tobyś mnie odrazu znalazła — odpowiedział Stefanek — jaka ta Janinka zabawna.

— No, to się schowaj — mówiła Mania — Wronosia przyjdzie i nie zdążymy cię znaleźć.

— To sobie zasłońcie oczy — rzekł Stefanek, oglądając się po pokoju i upatrując miejsca na schowanie — a najlepiej będzie, jak schowacie głowy pod kołderkę na mojem łóżeczku.

Mania i Janinka poskoczyły prędko do łóżeczka i odłoniwszy kołderkę, weszły w łóżeczko do połowy, zakrywając sobie główki.

Stefanek tymczasem otworzył dolną szafkę w umywalni, i chociaż mu tam było bardzo ciasno i niewygodnie, wtłoczył się jednak z wielką biedą między trzewiki i buciki, a przyciągnąwszy drzwiczki, krzyknął całym głosem: „Już!”

Dziewczynki wybiegły z pod kołderki, a główki ich wyglądały, jak strachy na wróble. Włoski ślicznie uczesane i ułożone rozrzuciły się zupełnie, kokardki zostały pod kołderką, sukienki wygniecione, a praca Antosi, która je parę godzin prasowała i rurkowała, w niwecz obrócona. Ale na to wszystko dziewczynki wcale nie zważały, ich cała myśl i uwaga zwrócone były na to, gdzie też to Stefanek się schował.

Zaczęło się więc szukanie na dobre, pod łóżkiem, za piecem, ale im jakoś na myśl nie przyszło, żeby zajrzeć do szafki. Wtém, klamka się poruszyła u drzwi i... Wronosia weszła do pokoju.

— No, idziemy, idziemy, aniołki kochane, tak się tu cichutko i grzecznie sprawiacie — mówiła, poprawiając na sobie dużą chustkę i nie patrząc na dzieci — tak, to lubię, cicho, grzecznie, aż miło, mama i babunia cieszyć się będą, jak im opowiem o was.

Naraz... spojrzała i aż krzyknęła z przerażenia. Ale bo też dziewczynki wyglądały okropnie. W wygniecionych sukienkach, zapyłone, z włoskami w strasznym nieładzie, stały na środku pokoju, z zarumienionymi buziąmi, gładząc na sobie sukienki.

— A to co się znaczy? dzieci, cóżeście wy z sobą porobiły? — zawołała poczciwa kobieta, załamując ręce — a toście się ślicznie ustroiły, ani sposób iść z wami między ludzi. A Stefanek gdzie? — dodała, oglądając się niespokojnie.

— Stefanek się schował, a my go szukamy — rzekła Janinka, śmielsza do swój niani — widzi nianiusia, myśmy się tylko bawili.

— Śliczna zabawa, ani słowa — mówiła Wronosia, poprawiając włoski Janinki — Stefusiu! — proszę wyjść zaraz z ukrycia, dość tego chowanego.

Stefanek rad nierad zaczął się poruszać w swém ukryciu, szykując się do wyjścia.

— A tyś się gdzie znów schował! Chryste Panie! co też temu chłopcu przyszło do głowy — wykrzyknęła Wronosia, idąc do szafki i wyciągając Stefanka — no, niema co mówić, ślicznie wyglądasz, kurteczkę i majteczki można rzucić do kosza; nie, doprawdy, nie myślałam, żeby pod opieką Maniusi stać się to mogło, panienka, która już siódmy rok zaczęła, i czytać się uczy, i piśsze listy do „Wieczorów Rodzinnych”, i żeby też tak się bawić miała, to wstyd doprawdy!

— Przecie my nieraz bawimy się w chowanego — mówiła Maniusia, blizka płaczu — Wronosia sama nam pomagała, a dziś to się gniewa.

— Tak, ale jak ja pomagam, to się to nigdy nie stanie, co teraz — rzekła Wronosia, już udobruchana, bo dzieci kochała bardzo i żal jej się zrobiło, patrząc na te skłopotane i zasmucone minki — Wronosia łózek nie przewraca, i w umywalnię dzieci nie chowa, no, i cóż teraz będzie?

— E, ja wiem, co będzie — zawołał Stefanek rezolutnie — uściskamy Wronosię, przeprosimy, dostaniemy inne sukienki i pójdziemy do Saskiego ogrodu, a potem do babuni.

— Nie, nie, za karę nie pójdziemy dziś nigdzie — rzekła Wronosia niby seryo, choć oczy jej śmiały się już do swoich pieścizetek — jak nie będzie kary, to nie będzie miary.

Janinka nastroiła buzię do płaczu.

— To już kiedy Wronosia mówi, że to ja wszystkie mu winna — rzekła Maniusia — to niech ja zostanę w domu, a Janinka taka jeszcze mała, nie ma rozumu, za cóż ma pokutować? o, już płakać zaczyna.

— No, no, moje jagódki, pójdziemy wszyscy, pójdziemy, a tylko mi nie płacz, robaczku — mówiła Wronosia, chwytając dziecko na ręce — ale bardzo proszę, żeby mi na drugi raz takiej zabawy nie urządzać bezemnie, bo widzicie, coście to narobili.

Trzeba było poprosić Antosi, żeby pomogła prędko dzieci przebrać, bo czas był wielki na przechadzkę, a i Mamusia mogła się tam niepokoić, gdyby dzieci długo nie było widać. Ubranie trzeba było zmieniać zupełnie, bo u Stefanka nawet pończoszki posmolily się między trzewikami w umywalni.

Dobry humor wrócił, dzieci szczebiotały i śmiały się, całując dobrą swą nianię, i przyrzekły, że tak się nie będą bawiły nigdy, gdy Wronosia wyjdzie z pokoju.

Kazimiera.

KRÓLOWA PERŁOWEGO PAŁACU.

(Dokończenie).

Po namyśle, kazała Jadzia karzełkom przynieść dużej go baranka na kółkach, okrytego białą jak śnieg wełną, który woła: me! gdy go pocisnąć pod brzuszkiem. I wzięła baranka po sali, posadziwszy na nim Filomenę tak, jak to panie na koniach siedzą. Po baranku nastąpiły inne zabawki najrozmaitsze, to mała, bardzo zabawna

grająca na skrzypcach, to niedźwiedź tańczący, gdy go się pociągnie za sznurek, to kot, co mysz połyka raz po raz, za pociągnięciem sprężynki, i mnóstwo, mnóstwo innych rzeczy, niepodobna wyliczyć tego wszystkiego.

Aż w końcu nasza Jadzia sama już nie wiedziała, czego żądać. Usiadła na paradnej kanapie i spoglądała dookoła: ogromna sala perłowego pałacu cała była zarzucona najrozmaitszemi gratami, mnóstwo ślicznych cacek walało się po podłodze, inne zalegały stoliki, kanapy, fotele i krzesła, lalki siedziały wyprostowane na swoich spręcikach, takie miały minki, jakby chciały poziewać. Nie mogły jednak tego zrobić, więc Jadzia zaczęła za nie poziewać, odpadła jej ochota do zabawy, złożyła ręczki na kolanach, myślała, coby to jeszcze kazać przynieść karzełkom, bo tego wszystkiego nie chciało jej się tknąć nawet.

I przyszło jej do głowy, że pobawiłaby się może balonikami, co to tak ładnie fruwać na długich niteczkach. To będzie przecież coś nowego, nieraz wprawdzie w domu miała balonik, to czerwony, to niebieski lub zielony, ale tu każe sobie przynieść odrazu z dziesięć rozmaitych kolorów, to będzie zaraz daleko zabawniej. I wnet usłużni karzełki ukazali się z ogromnym pękiem różnobarwnych baloników. Jadzia wzięła po kilka nitek do każdej ręczki i biegała po sali, a baloniki fruwały prześlicznie aż pod sufitem.

Gdy się zmęczyła, usiadła znowu, baloniki uwiązała do kanapy, żeby nie uciekły i patrzyła na nie, a widok baloników, unoszących się w powietrzu, znowu przypominał nagle Jadzi bańki mydlane.

— Ach! jaka to dziwna ta królowa perłowego pałacu — mówiła sobie dziewczynka — żeby też pozwolić bawić się tylu rozmaitemi rzeczami, i niewiedzieć dlaczego zabronić baniek mydlanych? A to przecież także jest wcale ładna zabawa, jabym teraz doprawdy bardzo chętnie się pobawiła temi bańkami. E, może ona tak tylko żartowała, bo coby to miało szkodzić tej królowej, żebym ja zechciała sobie kazać przynieść troszkę wody mydlanej i parę słomek? Te lalki, zwierzątka, te wszystkie cacka, tak mi się uprzykrzyły! A bańki mydlane, to byłoby coś nowego.

Myślała, myślała nasza Jadzia i nie mogła sobie wybić z głowy tych baniek, aż w końcu rzekła:

— Trzeba jednak spróbować, a nuż to był żart tej królowej perłowego pałacu, i nic się nie stanie, a ja zabawię się troszkę bańkami?

I biorąc nagle na odwagę, Jadzia szybko podniosła sznur pereł, zaczęła liczyć, zamknęła oczki i wymówiła czarodziejskie wyrazy:

— Słudzy królowej perłowego pałacu! śpieszcie, lećcie, przynieście mi wody mydlanej i kilka słomek.

W tej samej chwili dały się słyszeć dziwne jakieś szmery i głosy, Jadzię przestrasz ogarnął, nie śmiała oczu otworzyć, a gdy nareszcie otworzyła je ostrożnie, nie wiedziała sama w pierwszej chwili, co się z nią dzieje. Przyszła jednak prędko do siebie, bo usłyszała głos własnej swojej mamy, która mówiła:

— Co ci się stało, moja Jadziu? Obawiałam się, czyś nie chora i zbudziłam cię, boś tak niespokojnie spała,

mówiłaś coś przez sen, śmiałaś się; ale nie masz główki gorącej i dobrze wyglądasz, dzięki Bogu.

Jadzia obejrzała się dokoła i cóż obaczyła? Leżała w łóżeczku, w pokoiku swoim sypialnym, tak samo, jak w chwili, gdy królowa perłowego pałacu do niej przyszła, dzień już był biały, przy łóżeczku stała mama i uśmiechała się do niej.

— Ach! to był sen, to wszystko mi się śniło! — zawołała dziewczynka, zrywając się i siadając na łóżeczku.

— Ja się domyślałam, że ci się coś niezwykłego śnić musiało — rzekła mama.

— O, mamuniu, jaki dziwny sen! — mówiła Jadzia i zaczęła opowiadać mamie wszystko, o królowej perłowego pałacu, o karzełkach, o ślicznych zabawkach, i jak to ona nie usłuchała rozkazu wieszczki czarodziejki, zażądała baniek mydlanych i przebudziła się.

— To bardzo ładny sen — powiedziała mama z uśmiechem — i jest w nim dużo prawdy, oprócz czarów, bo te w bajeczkach tylko bywają. Jestem pewna, moja Jadziu, że gdybym ja tak zrobiła, jak ta królowa perłowego pałacu i dała ci naprawdę niezmierne mnóstwo zabawek, byłoby toż samo: sprzykrzyłyby ci się prędko te kosztowne cacka i zapragnęłabyś na gwałt czegoś innego, choćby baniek mydlanych.

ZAGADKA.

(Ułożona przez Ludwika Niemojowskiego dla Pszczółki litewskiej).

Żyję wraz z rodziną,
Dni me zawsze płyną
Słodkie i radosne,
Wyfruwać na wiosnę
Wraz z towarzyszkami,
I między kwiatami
Szukam trudu, pracy;
A jeśli są tacy,
Którzy wciąż próżnują,
Dni Boże marnują,
Nie chcę iść ich śladem,
Choć jestem owadem.

Ty zaś, jako znana
Ze swojego miana
W „Wieczorach Rodziny”,
Nie odrzucisz przecie,
Kochane me dziecię,
Wpływów dobroczynnych
Imienniczki swojej,
I nie będziesz panną
Z cenzurą naganną,
Co trudów się boi.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 43-go.

Zagadki:

Kotek.

Skrzynka do listów.

Malina z Siedlec doczekała się wydrukowania jednej małej powiastki, druga zapewne także będzie zamieszczona cokolwiek później. Jeżeli Malina pisała ją sama, bez żadnej pomocy, to możemy jej powinszować, bo i pomysł niezły i styl bez zarzutu. Zawsze jednak radzimy najszczerzej, aby kochana Malina z umiarkowaniem oddawała się tej pracy, nie przyrzekamy też każdej nadsyłanej powiastki zamieszczać, co jednak nie powinno Maliny zniechęcać, często bowiem dla braku miejsca uczynić tego nie możemy.

Wytrwałość będzie mogła nieraz jeszcze wynagrodzić sobie opuszczenie jednego z konkursów. Z rozesłaniem tak licznych nagród było trochę kłopotu, dlatego się to opóźniło, ale wszyscy swoje odbiorą.

Wielkopolance i Prędzę zasyła pozdrowienia **Wytrwałość**.

Zygmusiowi S. dziękujemy w imieniu biednych dzieci za przysłane dla nich 21 kop.

Stokrotka z nad Granicy trafnie odgadła łamigłówkę.

Niezapominajce z nad Horynia przesyła pozdrowienia **Stokrotka z nad Granicy**.

Aurykla i Trawka bardzo niesłusznie zarzucają redakcyi, że ich listy do innych korespondentów nigdy nie były drukowane. Mogły się opóźnić, ale nie zdarzyło się jeszcze, abyśmy czyjegogo listu wcale nie podali. Widocznie więc te, które nie były drukowane, rąk naszych nie doszły.

Orzeł z nad Wisły tak dawno się nie odzywał, że już nieraz brała nas chętka zapytania o przyczynę tak długiego milczenia. Musimy też powinszować Orzełkowi postępów w kaligrafii, listy daleko porządniej jest napisany od dawniejszych, które, pomimo zajmującej treści, czasem bardzo były uciążliwe do odczytania. Dziękujemy serdecznie Orzełkowi, że przy tylu zajęciach szkolnych o nas nie zapomina.

Ibisowi, Dzieciotłowi, Córce Mazurów zasyła pozdrowienia **Orzeł z nad Wisły**.

Morelka coraz lepiej i staranniej pisze, widocznie w ciągu lata przykładała się do kaligrafii. Niech tylko Morelka jaknajdłużej w tym wytrwa, aby pisać powoli i dużemi literkami, a wyrobi sobie z pewnością bardzo porządne pismo. Skoro już Morelka wybrała sobie pseudonym i to taki ładny, zaliczamy ją do rzędu stałych korespondentek i prosimy o częste listy. Łamigłówkę zamieścimy, jak tylko miejsce się na nią znajdzie.

Sobótce do nauki literatury francuskiej możemy polecić dzieło *Bougeault* rs. 1. kop. 50 lub *André* rs. 1, 65.

Pan A. Psuja w Strzelnie. Wysłane podług żądania dwa egzemplarze *Don Kiszota*, kosztują kop. 75, porto kop. 25. *Ziarnka Mądrości* rs. 1 porto kop. 20. Mielśmy na to rs. 1 kop. 40, dopłaciliśmy przeto kop. 80.

„Kochany Figielku! Już myślałam, że nie otrzymam od ciebie odpowiedzi, tak dawno mój list był pisany. Ja nie mam braci-szka, bo jestem jedynakiem, a Stefusiem zrobiono mnie zapewne przez pomyłkę w druku (rzeczywiście tak było. przyp. red.) bo mój to był list podpisany Stefus zamiast Zygmuś. Pozdrawiam ciebie serdecznie, miło mi wiedzieć, gdzie chodzisz do klas. Ja uczę się w szkołach w Poniewierzu. Zygmuś z Kowieńskiej gub.”

„Miły kwiatku Tujo! Bardzo żałuję, że daleko od siebie mieszkamy i nie możemy poznać się osobiście, byłybyśmy zapewne przyjaciółkami, bo jesteśmy prawie w jednym wieku. Ja mieszkam blisko Warszawy, uczę się w domu w towarzystwie Trawki, mojej siostrzyczki, a Zegarek, to mój braciszek, który zdał egzamin do I-ég kl., z czego jesteśmy bardzo dumne. Życzliwa Aurykla.”

„Kochany Kruku! Dziękuję ci bardzo, żeś się do mnie odezwał i że ci się podobał mój pseudonym. Radzę, żebyś zawsze odrabiając lekcye spoglądał na zegarek, to zdasz dobrze egzamin, tak samo jak ja. Bądź zdrow, uż się dobrze, Twój Zegarek.”

„Podzielałam twe chęci, kochana Lilijko z nad Mrogi, tém bardziej, że wiekiem jesteśmy do siebie zbliżone. Dobrze byłoby, żebyśmy się poznały, co łatwo może nastąpić za obustronném staraniem. Tymczasem przyjm uścisk od Ukrainki na Mazowszu.”

„Kochany Pegazie! Znam cię dobrze, pamiętasz zapewne, żeśmy się często widywali w kąpielu. Twój Orzeł z nad Wisły.”

„Kochana Pokrzywo! Nie mogłam ci wcześniej odpisać, gdyż byłam na wakacjach na wsi i dopiero teraz, powróciwszy do Krakowa, przeczytałam twój miłutki list. Nazywam się Alinka, mam lat 11, chodzę na pensyę, z czego się bardzo cieszę, bo będąc jedy-naczką, nie miałam dotąd towarzystwa. Nie mogę pisać dłuższego listu, bo go redakcyja nie przyjmie. Ściskam cię, Kalinka.”

„Kochana Wytrwałości! Ja także domyślałam się czegoś o tobie. Wszak prawda, że masz siedmioro rodzeństwa, dwie siostry i pięciu braci i że chodziliśmy razem na gimnastykę? Twoja Kalinka.”

„Kochana Żabko z nad Smotrycza! Odgadłam, lecz z pomocą Mamy, twoją ładną łamigłówkę: Matejko. W zamian posyłam inną, którą tobie ofiaruję. Mam lat 10, a imię Matki Boskiej. Napisz mi coś o sobie, a choć nieznajoma przyjm uścisk od Morelki.”

NOWE KSIĄŻKI.

D-ra Józefa Rostafińskiego Botanika szkolna dla klas niższych, z kluczami do oznaczenia 536 pospolitych roślin cena 1, 20.

„Tegoż Botanika dla klas wyższych, cena 1,80.

Pielgrzymka do Częstochowy i Jerozolimy, odbył i opisał Paweł Orzechowski, do druku poprawił Pisarz Gazety Świątecznej cena kop. 25,

Tajemnice Magii, czyli zbiór wyjaśnień główniejszych sztuk i produkcji magicznych z 80 rysunkami cena kop. 50.

Historya o czterech młodzieńcach i Treny p. Jakóbowi Strusiowi. Napisane p. Marcyana Kobiernickiego, nieznanego pisarza z XVI wieku. Wydał Kazimierz Gieysztor.

ZAKŁAD NAUKOWY ŻEŃSKI Leonii Rudzkiej

dawniej **Herman**.

przy ulicy Wielkiej N. 42, Zielnej Nr. 7.

Przyjmuje uczennice stałe i przychodnie, prócz nauki zapewnia opiekę i konwersacyę obcych języków.

Nauczycielka.

Posiadająca dobrze francuzki, niemiecki z konwersacyą przedmioty klasyczne, udziela lekcji. Mazowiecka № 10. Wieczory rodzinne od 10 do 4ój.

OGŁOSZENIE.

W redakcyi „Wieczorów Rodzinnych” można nabyć książeczkę pod tytułem:

Ignaz z Dubiecka (Ignacy Krasicki).

Opowiadanie dla dzieci p. Aleksandrę Marczewską, wydanie drugie.

Cena kop. 40.